

- Drogi panie wiedźmanie, moja sytuacja wygląda nad wyraz markotno, gdyż wygląda tak: wczoraj, o dnia brzasku, miały miejsce trwożliwe incydenta na mym gospodarstwie. Oblepiona liszajami poczwara brutalnie zdziesiątkowała mój kozi kierdel. Nie widziałem maszkarona wyraźnie, więc wciąż zachodzi możliwość iż było to straszydło wędrowne, wygnane i pałętające się pustelniczo, jednak osobiście uważam, iż był to bagienny stwór, który żyje tu, na leśnych mokradłach. Za jego głowę, drogi panie wiedźmanie, zapłacę złotem. Niech no tylko łeb gada na własne trzeszcze zobaczę, a nie będę żałował zapłaty. Czy jest pan wiedźman aktualnie do dyspozycji?

- Nikt nie chce mi pożyczyć pieniędzy na dziwki, więc jestem wolny.

- Podejmie się szlachetny kum misji zgładzenia monstrum zagrażającego moim kozom?

- Od dziecka kozy są bliskie memu sercu, ich dobro jest dla mnie najważniejsze. Zgładzę kozobójcę z ochotą.

- A więc zgoda! Jest to wiadomość na medal, wypijmy za to - Gospodarz rozlał pół litra wódki do dwóch wysokich szklanic. Jedną sam ujął w dłoń, drugą podał wiedźmanowi.

- Zdrowie kóz - zaproponował wiedźman.

- Zdrowie! - zgodził się gospodarz.

A potem wypili.

Wiedźman przedzierał się przez puszcę, często robiąc przerwy na fajkę i odsapnięcie. Gorąca miłość do tytoniu i rozrabianego z wodą spirytusu technicznego zrównała z ziemią jego niegdyś renomowaną kondycję. Za dawnych czasów mógł biegać bez zmęczenia wiele kilometrów, nawet tyłem, obecnie jednak po zdrowych fizycznie czasach nie pozostał nawet ślad. Wiedźman mimo to nie żałował. Cenił przyjemności jakie daje tytoń i spirytus znacznie wyżej od przyjemności jakie daje wielogodzinne bieganie tyłem.

Jego znajomość puszczy wciąż była nadzwyczajna. Dzięki niej, korzystając z sobie tylko znanych skrótów, dotarł do mokradeł w nieco ponad dwie godziny, choć nawet wielu doświadczonym traperom taka wyprawa zazwyczaj zajmowała cały dzień.

Wiedźman wkroczył na teren mokradeł tak rutynowo, jak gdyby wchodził z imieninową wizytą do cioci Stasi, a wchodził tymczasem na cieszące się wyjątkowo złą sławą bagna. Zdradzieckie grzęzawiska, agresywne gady, niekulturalne potwory, wszystko to nie zachęcało do kurtuazyjnych wizyt na te tereny. Wiedźman szedł paląc papierosa, myślał o rudych dziwkach.

Po godzinnym marszu w głąb bagien, Wiedźman odnalazł miejsce, którego szukał. Położona w sercu niebezpiecznych grzęzawisk chata z obumarłych gałęzi, starych liści, wysuszonego mułu i błota: cel jego drogi. Zajrzał do wnętrza przez okno chaty, lokator był w domu, odbywał właśnie satysfakcjonujące zbliżenie z urodziwą przedstawicielką żeńskiej odmiany swego gatunku. Wiedźman popatrzył sobie chwilę, a potem zapukał do drzwi.

"Jeśli to znowu ten akwizytor" dało się słyszeć męski głos z wnętrza chaty "to powiedz mu, że nie chcemy kupić żadnych encyklopedii, i że żaden z naszych krewnych nie chce encyklopedii, niesłyszeliśmy także by którykolwiek z naszych znajomych miał taką zachciankę by sobie lub małżonkowi sprawić takowe kompendium, w ogóle powiedz mu, że kupimy cały ten jego leksykon wiedzy tylko jeśli on go potem od nas odkupi za podwójną cenę".

Chwilę potem otworzyły się drzwi.

- A won mi dziadzie z tymi encyklopediami... - żeńska przedstawicielka gatunku potworów z bagien w pierwszej chwili wzięła wiedźmana za domokrażcę, ale potem zawiesiła na nim przerażony wzrok.
 - KOMORNIK! - zażartował wiedźman.
 - Ło matko Edmund wiedźman tu jest, przyszedł zwlec z nas skórę, to nasz koniec, uciekajmy...
 - Shut up kobieto - powiedział stwór z bagien, i wyszedł z chaty na spotkanie wiedźmanowi, zamykając za sobą z trzaskiem drzwi.
 - Co tam jak tam wiedźman, masz coś spida może przy sobie? Jak masz to poratowałbyś rzutem, od rana jestem trzeźwy jak nadleśniczy w święto lasu i mnie ten stan nie służy.
 - Ostatnie co miałem bielinki, to wzięłem dziś z rana na rozruch.
 - Niedobrze, a nawet bardzo niedobrze, bo nieprzyzwoicie bury dzień się zapowiada, dzień z kategorii tych sprawiających ból, dzień zadający mentalną kosę w plecy, dzień rzucający ci w twarz śmierdzącymi odłamkami sadzy... - potworowi z bagien faktycznie nie służył długotrwały stan trzeźwości.
 - Ja tu nie na pogaduchy Edmund. Konkretnie do ciebie, w sprawach zawodowych przychodzę.
 - Znowu mnie złe języki posadzają o jakieś czyny niestosowne, nielegalne? To pomówienia, z góry ci powiem.
 - Gospodarz z nizin twierdzi, że ubytki w liczebności jego kóz, i twoja szlachetna osoba, to blisko powiązane ze sobą sprawy.
 - Niech buja garba, co ja tam mogłem wziąć, jak on ma tych kóz pięćset? Może i wzięłem jedną, taką już starszą, która, z całym szacunkiem dla tej kozy, ale wyglądała marnie, już się rozsypywała, już niedługo by skończyła biedaczka. Więc wzięłem ją z dobrego serca, chcąc ukrócić jej cierpienia, znasz mnie, wiesz, że mam złote serce, i dzieciom pomogę, i zawsze wszystkim dobrze życzę.
 - On mówi, że czterdzieści tych kóz zginęło.
 - No może i czterdzieści wzięłem, bo ja akurat patrzyłem wtedy, bo ja akurat liczyłem jak brałem. Wielkie mi halo, jedna, czterdzieści, co za różnica, co znaczy czterdzieści kóz przy wielkości wszechświata.
 - Dobra, nieważne, załatwiamy to jak zawsze i spokój. Dawaj łeb bo go potrzebuję pokazać żeby złoto dostać.
- Potwór z Bagien pokiwał ze zrozumieniem narkotyczną głową, wrócił na chwilę do chaty, a potem wyszedł trzymając w rękach okrągły, kuklany łeb, wyglądający trochę jak jego własny.
- Dzięki szmacianym łbom Wiedźman mógł zarobić swoje pokazując zleceniodawcom rzekomy łeb ofiary, a Edmund mógł zachować głowę. System skutecznie działał od lat.
- Coraz gorszej jakości łby kleisz - ocenił łeb Wiedźman - ten się do niczego nie nadaje.
 - Jak się do niczego nie nadaje, jak się nadaje? Przyznaję, nie przysiedzialem tak dużo przy tym łbie jak przy wcześniejszych, ale wiesz, kobieta w dom, czasu mniej. Co nie znaczy, że ten łeb się nie nadaje!
 - Nie nadaje się, tu jakieś gałęzie wystają, każdy idiota się zorientuje, że to niezbyt udana preparacja.
 - Nie zorientuje się...
 - Zorientuje się kurwa szyszki wstawiłeś zamiast oczu, ludzie to szyszki jeszcze potrafią rozpoznać - wiedźman wiedział, że ma rację - Dajmy z tym spokój. wyrzuć ten łeb - rzekł zrezygnowany - Następnym razem weź to Edek skleć lepiej, ja z tego żyję w końcu, miej to na uwadze.
 - No jasne, sorry wiedźman, tak jakoś wyszło, się nie powtórzy. Jutro gramy w makao na pieniądze chcesz to wpadaj, będą chłopaki, będzie woda... - Edmund próbował zmienić niewygodny temat.
 - kto będzie?

Wiedźman był zapalonym hazardzistą.

- Piaskowy golem, duch pirata, mumia króla węży, ci co zawsze... a, właśnie, słuchaj: ma być też człowiek jeź, kojarzysz gościa?
- Ten co na zimę się w szmaty owija i gada do jeży.
- No, ten. Można go orznać na niezłą kasę, jeśli tylko byśmy powspółpracowali odpowiednio przy stole,

co ty na to?

- Przemyśle, zgadamy się jeszcze. a teraz spadam.

- No narazie. Jeszcze raz sorry za ten łeb.

- Już takiego psa z siebie nie rób, nie do twarzy ci z tym. Jakoś to i tak załatwię, nie takich cymbałów się kręciło.

"Pieniądze na dziwki same się nie zarobią" pomyślał rozsądnie wiedźman ścinając z nieznanego mu drzewa wielki liść. Miał rozległe, pieniądztwórcze plany związane z tym liściem.

Nie mogąc przynieść gospodarzowi dostatecznie przekonującej głowy potwora, postanowił zaprezentować możliwie jak najbardziej przekonującą bajeczkę, wspartą dowodem rzeczowym w postaci rozłożystego liścia, którzy w historyjce miał odegrać rolę zdobyczej łapy bagiennego maszkarona. Szedł, szczegółowo obmyślając plan.

- Toż to sam pan wiedźman pośpiesza ku moim grząskim gruntom! czy tak jak teraz twardo kroczy pan ścieżką ku memu domostwu, kroczył pan ścieżką zwycięstwa podczas boju z odstręczającą szkaradą z trzęsawisk? Ależ pan jest ranny, niech pan siada!

Wiedźman zadbał zawczasu o odpowiednio sugestywne zadrapania.

- Co się też wydarzyło na tych strasznych moczarach! Czy bój skończył się niepomyślnie? Ach, na co też ja pana wysłałem, na śmierć pewną, na zgubę...

- Wody... - prosił łamiącym się głosem wiedźman, cwany aktorzyzna.

Wystraszony nie na żarty gospodarz, trapiiony przez potężne wyrzuty sumienia, podał wiedźmanowi najczystszej, źródlanej wody, którą sam pijał tylko w święta lub przy chorobie.

- Lepiej?

- Nie.

- Może strawy na wzmocnienie? Żona robi coś kunsztownego!

- Dziękuję za dobre serce, ale jestem tak wyczerpany długotrwałym bojem, że pewno od razu bym się zerzygał.

- Widzę, iż jest pan wycieńczony panie wiedźmanie, i to co zrobię pewnie leży w złym tonie, ale niech skonam: muszę, po prostu muszę usłyszeć co się stało na tych przeklętych moczarach!

Wiedźman przełknął ślinę, otarł pot z czoła, i zaczął rzeźnić:

- Po długotrwałym marszobiegu dotarłem pod legowisko potwora, ale w tym gnieździe zła zamiast znanego nam lokalnego straszdyła, znajdowały się aż dwa tuziny podobnych mu bagiennych istot. To był ich cholerny sabat, zebranie, konwent dziwadeł albo i festyn z okazji jakiegoś bagiennego święta. Stoję z ukrycia i patrzę jak te potwory tańczą wokół ognia. Zastanawiam się, jaką tu teraz taktykę przyjąć, żeby wszystko poszło po mojej myśli. W końcu wpadam na taki pomysł: wyskoczyć z mieczami i zacząć z nimi walczyć, z wszystkimi naraz.

I tak robię i z zaskoczenia już w pierwszym uderzeniu bezbłędными ciosami obezwładniam dwa pierwsze napotkane stwory. Sprytnym manewrem otaczam pięć kolejnych, ci osaczeni uciekają w puszcę, z takim przerażonym skowytom, że ja wiem, iż oni tu już nie wrócą, im już żadne złodziejstwa w dziedzinie kóz nawet do głowy nie przyjdą, popamiętali. Wtedy ja się unoszę bardzo na tych początkowych zwycięstwach jak na skrzydłach i to jest błąd, gdyż tę moją chwilę dekoncentracji wykorzystują potwory łapiąc mnie za ręce i kostki i rzucając mną gdzieś na wysokie drzewa, skąd spadam łamiąc po drodze wiele gałęzi, zbierając wiele zadrapań i potłuczeń.

Lecz to jest za mało na mnie wciąż jestem w świeżej formie, więc tylko otrzepuję kolana po upadku i atakuję frontalnie trzech, ci po krótkim spięciu kapitulują, wywieszają białą flagę, przechodzą pod moje panowanie, dobrodusznie pouczam ich tylko i każę im nie zbliżać się do puszczy, a już do kóz pewnego zanego gospodarza to pod groźbą śmierci w męczarniach.

Potem reszta związuje mnie w krzyżowych atakach, jednak odpieram wszystko, z wolna dziesiątkując ich dzięki znacznie wyższym zdolnościom szermierczym, intuicji taktycznej oraz odpowiedniej mieszance zachowawczości i ślepej furii.

W końcu zostaje tylko trzech, i wydawałoby się, że skoro już usunąłem brawurowo dwudziestu jeden, to z tymi trzema pójdzie łatwo, jednak to są najsilniejsi, najwybitniejsi wojownicy z tego plemienia stworów, i zdobywają nade mną przewagę, poturbowują mnie silnie. Tu mnie rękę wykręcił niemal jeden, a drugi zamachnął się kijem na mój kark, i byłby trafił, byłby mój żywot brutalnie zakończył, gdyby nie mój brawurowy unik oraz rzut błotem w oczy przeciwnika.

Z tymi trzema wojowałem ciężko przez blisko pięć godzin. Najpierw biliśmy się na mokradłach, ale pole naszej bitwy zmieniał się przy głuchych odgłosach kling. Walczyliśmy i w gęstym lesie, i na równinie, wokół zagonów malin zadawaliśmy sobie ból i przemoc, w dolinie fallicznych skał przelewaliśmy krew. Tak dotarliśmy w czwórkę nad przepaść, gdzie wykorzystując wrodzony lęk wysokości bagiennych stworów udało mi się obezwładnić jednego z nich, drugi tymczasem padł jak długi, dostał ze strachu zawału.

Zostałem tylko ja i najsilniejszy potwór, ich wódz. Widziałem jak walczy, i byłem pewien, iż tak naprawdę wszyscy inni mu tylko zawadzali, gdyż on należał do tych wojowników, którzy najlepiej walczą w kontakcie jeden na jeden. Istotnie, miał wszystko co w pojedynkach uchodzi za najważniejsze: długi zasięg ramion, szybkość, rozważność przy podejmowaniu ataków. Mierząc szanse, dawałem sobie uczciwe 50% na zwycięstwo.

Ja, panie gospodarzu, Nie mogę sobie pozwalać na walki, w których mam tylko 50% szans na zwycięstwo.

Użyłem więc fortelu: umyślnie dałem w walce zepchnąć się tuż nad krawędź (a byłbym przy tym niemal zginął) lecz udało się: gdy za plecami nie miałem już podłoża, a jeno bezbrzeżną przepaść, wódz stworów naparł ciut nierozważnie, wiedzony niechybnym - w jego ocenie - sukcesem. Wtedy ja błyskawicznie rzuciłem się na ziemię, i nim zdążył zareagować, urznąłem mu płetwę. Stracił przeto zupełnie równowagę i spadł w przepaść, a spadając wciąż ciskał bagienne przekleństwa w moją stronę. Mości gospodarzu, wskutek takich właśnie okoliczność nie przyniosłem czerepu straszdyła, ale to jest właśnie ta rzeczona, tak ciężko wywalczona płetwa nieprzejednanego wojownika, wodza potworów - Wiedźman pokazał chłopu wielki, brzydki liść. Gąsienica lazła po jego obrzeżu.

- Nie wygląda na płetwę - powiedział niepewnie gospodarz, przypatrując się brzydkiemu liściowi - wygląda jak brzydki liść.

- To tak się tu traktuje bohaterów? To ja tu karku nadstawiam za wasze kozy a gospodarz wątpi? Liść? Liść! Być może, że dla laika, wygląda ta płetwa bagiennego wodza trochę jak brzydki liść, w końcu to jasne, że płetwy bagiennych stworów są nieco podobne do starych liści, ale nie przesadzajmy. Wybaczam panu gospodarzu, gdyż pan się chuja zna i rozumiałe, że mógł się pan pomylić.

- Nim zostałem farmerem przez trzydzieści siedem lat studiowałem anatomię potworów z bagien. Wykładałem ja jako przedmiot na uniwersytecie. O płetwach bagiennych stworów napisałem doktorat, oraz profesurę. Wiem więc jak wygląda płetwa, i zwyczajnie widzę, że to jest stary liść, olszyny na pierwszy rzut oka. Wobec takiej sytuacji panie wiedźmanie...

- Srolszyny nie olszyny, gdzie pan te doktoraty dostawał jak pan nie zna takiego stwora bagiennego co ma taką płetwę, jak boga kocham. Czyli co, może zmyśliłem to wszystko? Może te zadrapania sam sobie zrobiłem? Tak mnie pan gospodarzu obraża, a ja za pańskie kozy krew przelewałem. Idę sobie. Zbrukano mój honor.

- Nie chciałem pana wiedźmana urazić, przepraszam... być może, że jest gatunek, którego nie znam, może jakiś nowy zmutował, nigdy nie wiadomo... Niech pan wybaczy mi moją arogancję i okaże wyrozumiałość, za to niestosowne nieporozumienie. Zapłacę, podwójną stawkę złota niż się umówiliśmy.
- Nie można kupić mojego honoru.
- Trzykrotną stawkę.
- Zgoda.

Wypili jeszcze pół litra aby zatwierdzić umowę, a potem gospodarz wypłacił złoto i wiedźman wreszcie miał na dziwki.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

lynch, dodano 25.02.2010 15:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.